TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 27. *Chicago, Ills., 31 Grudnia, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Zawejda, a nie będzieszże ty milczał przecie! Czy tobie się zdaje, żeś jeszcze ciągle w białej chorągwi, albo w dubieńskiej dragonii, co do kieliszków strzelała, albo, w częstochowskiej milicyi, albo przy lipkach — boś tam wszędy bywał, a nigdziejś statku nie znalazł! Wiedzże raz Waćpan, że masz honor służyć w porządnym regimencie, i że ja takich głupich pogróżek przeciw władzy nawet w żartach nie lubię. Mnie spotkał despekt, a nie Waćpana, siedźże sobie cicho!

Zamikł Zawejda, bo się mnie bał, gdy mnie gniewnego widział — a po chwili po cichu i bez zawadyackiego animuszu się ozwał:

— Już się ty na mnie nie gniewaj, rotmistrzu, bo ty mnie znasz, i wiesz żem językiem gorączka, ale jeźli nie do rzeczy mówię, to dla tego, że mam do ciebie affekt serdeczny. Powiedzże nam, kochany rotmistrzu, co w takiej brzydkiej konstellacyi począć myślisz?

— Lat szesnaście służę już wojskowo — rzekłem — a kiedym się tylko despektu dosłużył,

to za wygraną dam i w kąt pójdę. Zrezygnowałem się panowie kamradowie; abszyt wezmę!

— My stobą! Mości rotmistrzu — ozwali się oficerowie — i w nas ten dyshonor godzi; nie przeniesiem my tego, aby nam lada gagatek dowodził. Prosimy wszyscy o abszyt!

— Jako wola wasza, moi panowie — rzekę ja na to — ale to wam wyraźnie powiadam, że ja tego po was ani wyciągam, ani wam tego nie chwalę. Niech każdy dobrze na rozum weźmie, aby nie żałował tego; bądźcież wy stateczni, a baczcie na to, aby z krnąbrnej fantazyi karyery nie utracić.

— Już my się rezolwowali — zawołali na to — już nam to wszystko za jedno stoi, niechaj padnie co padnie, a my przecie z tobą, Mości rotmistrzu!

W kilka dni potem otrzymałem ordynans od p. kasztelanica Ostrowieckiego, który po owem zajściu ze mną wyjechał był ze Lwowa, abym na dniu oznaczonym z moją chorągwią na lustracyą się stawił. Ordynans ten datowany był ze wsi, gdzie ten nowy pan komendant przebywał sobie spokojnie, aż się komputowcy z rozmaitych kantonów powoli do Lwowa pościągają. Skorom ten ordynans otrzymał, zaraz napisałem prośbę o abszyt, folgując w tem rozżalonemu sercu i obrażonej ambicyi mojej. Prośby tej jednakowoż nie wysłałem zaraz, umyślnie sobie czas zostawując do dalszej jeszcze deliberacyi, bo tak ważnej imprezy dokonywać nie chciałem bez gruntownego namysłu. Dałem wiadomość o otrzymanym ordynansie moim oficerom, a ci go tak samo krzywo przyjęli, jak i ja, albowiem zaraz nazajutrz wszyscy stawili się u mnie i każdy z nich prośbę o abszyt na ręce moje złożył.

Chciałem zaraz wszystkie te papiery złożyć panu generałowi Korytowskiemu, aby je do wojskowej komisyi, albo do króla Jegomości posłał, ale go nie było we Lwowie, bo właśnie na dni kilka był wyjechał. Tak tedy *volens nolens* wstrzymać się musiałem z tym ostatecznym krokiem, bo chociaż na upartego idąc, i sam takową ekspedycyę do Warszawy uczynić mogłem, przecież przez wzgląd na p. generała, aby jego, co tak życzliwy do mnie affekt miał, nie obrazić, na własną rękę nic robić nie chciałem. Tymczasem zbliżał się dzień, na który pan kasztelanic lustracyą ową rozpisał i już tylko trzy dni czasu mi zostawało, rozmyśleć się a prośby o abszyt wyprawić.

Dwa dni przed samym terminem lustracyi dowiedziałem się, że pan generał Korytowski powrócił; dałem znać tedy oficerom mojej chorągwi, aby nazajutrz w paradnym adjustunku do mnie się zeszli, i abyśmy tak razem u p. generała się stawili, i jemu osobiście te dymissye nasze do rąk oddali. Owo taki miał być koniec mojej służbie żołnierskiej i moim wszystkim widokom i życzeniom, które, Bóg to widział, szczere a poczciwe były dla króla i Rzeczypospolitej. Że to był krok ważny w mem życiu i o losie moim dalszem stanowił, więc całą noc spać nie mogłem od frasunku i rozmaitych przykrych myśli.

W takiem rozmyślaniu, biorąc statecznie na rozwagę imprezę moją, począłem sądzić samego siebie, i owo rozmaite *dubia* garnęły mi się do głowy, a decyzya już prawie powzięta zachwiała się we mnie. Rozważałem, czy mam racyę gniewać się o doznaną postpozycyą? czy godzi mi się dawać folgę obrażonej ambicyi? czy nie będę żałował kroku, który mi teraz rozżalony affekt dyktuje? Poczęły mi się więc nasuwać rozmaite argumenta, a owo wszystkie *contra* były. Mówiłem tedy sam do siebie:

— Rozważ bracie, czy twoja impreza uczciwą jest a stateczną? Skarżyłeś się sam zawsze na to, że w Polsce ambicya górą stoi nad rzeczą publiczną, a sam czy ambicyą nie zgrzeszysz? Podraśnięto cię na miłości własnej, i owo już racya tobie, aby służbę porzucić. Skarżyłeś się na brak posłuszeństwa w kraju, na niesforność a krnąbrność animuszu, owo patrz, czy ty sam posłuszeństwa nie łamiesz? Powiadasz, żeś krzywdy się doczekał i żeś godniejszy na komendanta. Albo ci to przystoi, bracie, być sędzią twoich własnych zasług? Krzyw jesteś temu, że nie ty ale kasztelanic Ostrowiecki wziął partyę. A któż wie, czyli on nie godniejszy? Może on naprawdę lepiej się sprawi, może ma zdatność wojskową nad wiek swój i nad spodziewanie twoje. A gdyby ta nominacya i niesprawiedliwości była, maszże ty prawo buntować się przeciw władzy twojej? Owo nie sztuka słuchać, kiedy rozkaz po woli a fantazyi twojej, łacny to wtedy posłuch i miła powolność; ale słuchać i poddać się rozkazaniu, choćby ono przykre ci było, tem się cnota posłuszeństwa mierzy, to jest ogniem probierczym subordynacyi! A baczże na to, żeś żołnierz, a żołnierzowi co wyżej stoi nad posłuch

a uległość ślepą? Nie zapomnijże o tem, że czyn twój zgorszenie wywoła, i przykład zły da buty krnąbrnej, a do tego w tej naszej Polsce już zachęty nie potrzeba, bo i tak wszędy swawola, a hardość fantazyi prym przed obowiązkiem wodzi!

Takowe argumenta, które jakoby z natchnienia mi płynęły, obaliły moją decyzyę — a na drugi dzień rano obudziłem się z rezygnacyą a nawet z wesołem sercem, żem siebie samego zwyciężył, bo to trudniejsza nieraz wiktorya, niźli na wojnie. Czekam już tedy z statecznym umysłem moich kamradów, a gdy ci wedle umowy do mnie przyszli, pocznę ich konwinkować temi samemi argumentami, których na siebie samego zażyłem z skutecznością. Widziałem to po ich twarzach, że zrazu nie radzi byli tej odmianie mojej, ale powoli słowa moje trafiały do ich rosądku.

— Chcieliście iść ze mną — rzekłem w końcu — zostańcież teraz ze mną! Proszę was o to, mili kamradowie, a nawet zaklinam, bo to będzie chwalebna sakryfikacya z naszej strony i przykład zacny żołnierskiego posłuszeństwa!

Rzekłszy to wziąłem nasze prośby o abszyt i potargawszy je w komin rzuciłem. Tak stanęło na tem, że przyjmiemy nominacyę pana kasztelanica z rezygnacyą i rygorem żołnierskim, a ja jako rotmistrz i nakazywałem i prosiłem, aby na oną lustracyę, która już pojutrze odbyć się miała, chorągiew nasza wystąpiła uczciwie i chędogo, honor czyniąc oficeryi i całemu autoramentowi.

Nadszedł w końcu dzień nakazanej przez p. kasztelanica lustracyi, dzień niemałej sakryfikacyi dla mnie, bom miał uczynić ofiarę z ambicyi mojej i słusznej opinii o zasługach własnych wojskowych. Za zamkiem był plac duży, na którem się zawsze musztry odbywały, tam też lustracyi miejsce naznaczono. Trzymając się *stricte* ordynansu, z uderzeniem godziny 9 z rana już z całą moją chorągwią na miejscu stanąłem, podczas gdy komputowcy, milicya i żołnierstwo nadworne ściągały się powoli tatarskim ordynkiem, to jest nieuczciwą kupą maszerując, bez wszelakiej postawy wojskowej.

Że dzień był spokojny a lustracya paradna dla publiki lwowskiej była rzadkiem widowiskiem, więc ludu sporo się zgromadziło, a była tam nietylko gawiedź sama, ale siła szlachty a już najbardziej rozmaitych elegantek lwowskich, które snać miały panu kasztelanicowi służyć za nadobną galeryę. Długośmy bardzo czekali na młodego komendanta, dłużej niżem tego zwykł był dawniej w Poczdamie a później w Warszawie kiedy sam monarcha rewią trzymał. Podczas tego pocztowi pancerni, kawalerya narodowa i komputowi gwałtu czynili siła, to się śmiejąc, to swarząc się, to nakrzykując, tędy i owędy się ruchając, jakby mrowisko, my tylko dragonia staliśmy cicho a z marsową powagą, jak przyzwoitemu żołnierzowi przystoi.

Doczekaliśmy się tandem p. kasztelanica, komendanta naszego; przyjechał dworno i z takim sztabem okrutnym jakby faldmarszałek jakiej srogiej potencyi. Myślałby kto, że sam hetman jedzie, buńczuka jeno brakło. Przybył na plac pan kasztelanic z jaką dziesiątką towarzyszy i z dwudziestu ułanami swej własnej nadwornej milicyi, rojno i strojno, huczno, juczno i bundziuczno, jakby na wjazd tryumfalny. Już to przyznać mu trzeba było, że wyglądał pięknie i bogato, jak istne staropolskie rycerskie pacholę, bo młodzian był dorodny a strój pancerny zdobił go bardzo. Wprawdzie za czasów moich już z onych starodawnych hussarzy a towarzyszy pancernego znaku zaledwie reminiscencya pozostała, tak że ledwo cztery pancerne chorągwie w całej Polsce istniały, i ani z srogiego rynsztunku ani z sarmackiej dzielności nic im prawie nie zostało — ale przecież pan kasztelanic z swymi towarzyszami pokaźnie i dzielnie się oku prezentował.

Siedział p. kasztelanic na koniu pysznym krwi tureckiej, a rząd na tym koniu był dziwnie bogaty a kunsztowny. Już to prawie po raz ostatni widziałem w Polsce takowy przepych za oczy chwytający, i takowy splendor magnacko-rycerski, bo już były powychodziły z mody zbytki i fantazye staropolskie, a natomiast wszystko z cudzoziemska na modelusz francuzki lub niemiecki w zwyczaj u bogatej szlachty wchodziło. Rząd na koniu p. kasztelanica był suto srebrem i drogiemi kamieniami nasadzany; egretka świeciła jasnym blaskiem złota i klejnotów; czepiec z tkaniny był srebrno-złotej; buńczuk nad uchem i kita z strusich piór nad łbem końskim siedziały w szczerozłotej gałce, a z pod kulbaki spływał pyszny czaprak z dywdyku tureckiego, cały drogim haftem natkany. Patrząc na takowy luxus wielki, a do mizeryi wojska polskiego go przyrównując, pomyślałem sobie, jakby to za one bogactwo a bezmierną kosztowność całą chorągiew dragońską wysztyftować

i w moderunki zaopatrzyć można, z czegoby więcej pewnie było korzyści, niż z takowej świetności nieprzystojnej młodemu człowiekowi, co ledwo rangę chorążego w znaku pancernym trzymał. Owo pan komendant kapie od złota a szmaragdów, rubinów, i turkusów, a jego wojsko, dragonię moją wyjąwszy, dziura wemi łokciami świeci, szabli dobrej przy żebrach nie ma, flintami bez zamków świat straszy.

Jaki koń, taki był i jeździec, albowiem mundur p. kasztelanica aż za oczy chwytał swojem bogactwem. Że już w onczas pancerne towarzystwo nie nosiło pancerzy ani misiurek, więc pan kastelanic miał na piersiach tylko harnaszek cieniutki z polerowanej stali, na głowie szyszak a przy rękawicach takoż błyszczące stalowe karwasze. Na znak swej godności miał p. kasztelanic jako chorąży pancernego znaku, na ramionach najprzedniejszą burkę krymską, atłasem karmazynowym podbitą, sznurami złotemi na piersiach związaną, co od lśniącej blachy stalowej przedziwnie odbijało. Jakoż gawiedź zgromadzona kupą ku niemu sadziła, ciekawie się przyglądając, tak, że ledwie ułani rum uczynić mogli, znaczkami swemi natrętnych płosząc. Rad sobie był z tej ciekawości i admiracyi nasz p. komendant, a nawet go to trochę cieszyło, kiedy pospólstwo krzyczeć poczęło: „Wiwat pan hetman! Wiwat pan regimentarz! Wiwat pan generał!"

Ledwie p. kasztelanic na placu stanął, zaraz się ku mojej chorągwi ruszył. Chociaż mi doznana postpozycya srodze przykrą była, a owa cała komedya gorszyła niepomału, przecie w jednej chwili wszystkiego zapomniałem, nic już nie widząc w kasztelanicu, jeno komendanta mojego, któremum respekt i posłuch żołnierski winien. Jakoż widząc go ku nam podjeżdżającego, dałem natychmiast komendę chorągwi, aby broń skwerowała, sam zaś naprzód wyjechałem, salutując go według regulamentu. Złożywszy mu ustnie regestr chorągwi, i zameldowawszy jej aktualny stan, czego pan kasztelanic z wielką powagą słuchał, chciałem już kazać oficerom, aby wystąpili przed front dla prezentacyi, kiedy nagle nadjechał konno adjutant p. generała Korytowskiego z ordynansem, że p. generał sam na lustracyę przybywa, mając całej partyi rozkazy najnowsze hetmana i komissyi wojskowej do obwieszczenia, i że z tej przyczyny prosi, aby z całą lustracyą na niego czekano.

Skrzywił się trochę p. kasztelanic, ale ordynans przyjął, we froncie jednak z nami nie stanął, ale z towarzyszami jakoby szpicę na przodzie uformował. Za chwilkę pojawił się pan generał Korytowski, na koniu i w paradnym mundurze cudzoziemskiego autoramentu, to jest w pąsowym kolecie z złotemi szlifami, z wielką szarfą złocistą, i przy szpadzie z złotym gifesem. Ujrzawszy, że p. kasztelanic z swoimi na przodzie stoi szyk psując, zaraz mu we front ustąpić kazał, wysyłając go na lewe skrzydło, tam gdzie stał poczt pancerny. Następnie przejechał front cały, a stanąwszy na środku przed całą partyą, zakomenderował:

— Oficerowie i oberoficerowie — wystąp!

Zaraz też na tę komendę cała oficerya partyi wystąpiła, na trzy kroki przed panem generałem się zatrzymując, a i pan kasztelanic podjechać także raczył wraz towarzyszami, którzy za rangę oficerską się liczyli. Wtedy p. generał wydobył ordynans komissyi i głośno go odczytał. Owo wystawcie sobie, jakie było moje zdziwienie kiedy z tego ordynansu się dowiaduję tak niespodziewanie, że komissya wojskowa, czyniąc zadość słusznym remonstracyom pana generał-majora Korytowskiego, dawniejszą nominacyę p. kasztelanica Ostrowieckiego *non valentem* uznała, takową całkowicie zniosła, a mnie komendantem całej partyi mianowała. Nie chciałem wierzyć uszom moim, kiedym właśnie nazwisko usłyszał, a nie pamiętam, czy mnie kiedy coś tak uradowało, jak ta satysfakcya niespodziewana.

Nie wiem, jaką minę miał p. kasztelanic, albowiem nie patrzyłem przez umyślną delikatność na niego, niechcąc mu konfuzyi dodawać. Po odczytaniu ordynansu kazał p. generał odstąpić oficerom, a gdy ci już byli w szeregu, zakomenderował, aby broń prezentowano i werbel bito — i mnie poprzed cały front przeprowadził, z wielką uroczystością wojskową na komendanta całej partyi mnie instalując. Kiedyśmy przed frontem mojej chorągwi przejeżdżali z panem generałem, niecnota Zawejda, jako zawsze zielono mu było pod siwą głową, a o fantazyę swawolną nie trudno, zawołał: hura! a dragonia cała, rozradowana odmianą rzeczy, jak krzyknie: hura!! to jakby z moździerzy zagrzmiało. Głupi to był koncept, i jak obaczycie siła złego narobił, bo p. kasztelanic i tych kilku pancernych, którzy z nim byli, snać za przekwint i za despekt to sobie wzięli, co rankor ich ku mnie niepotrzebnie wzmogło, Kiedy więc podjeżdżamy ku le-

wemu skrzydłu, kędy stał poczt pancerny z kilku Towarzyszami i kasztelanicem na czele, ktoś z pp. Towarzyszy do mnie pijąc, jako do kapitana od dragonii, nieprzystojny żart sobie zrobił, i naśladować począł taraban i sygnał capsztrajchowy, wołając: Drrra... gan, drrra... gan, drrra... gan...

Zwracam się z sprawiedliwym gniewem do kasztelanica, jako do komendanta pocztu i wołam:

— Każ Waćpan milczeć swoim ludziom, Mości chorąży!

— Każ im to Waćpan sam, wszakeś komendant! — odpowiada mi na to hardo kasztelanic.

— Dobrze tedy, nakażę sam, a od Waćpana zacznę: milcz Waćpan!

Rzekłem te słowa tonem surowym i stanowczym, a pan generał poparł mię ostrem wejrzeniem, tak że p. kasztelanic naprawdę umilkł. Towarzysze zaś jego poczęli głośno mruczeć i gniew okazywać — zwracam się więc do p. generała i pytam:

Mam ja tu wolę swoją, p. generale, czy też pan generał sam weźmiesz interwencyą w takiej niesubordynacyi?

— Pokaż Waćpan swoją powagę, jako komendant — odpowiada pan Korytowski — i czyń, jako ci regulamenta każą.

Mówię ja tedy do onej niesfornej kupy:

— Panowie Towarzystwo, kto ma co do powiedzenia, niech wystąpi, a powie po szczeremu, za złe mu tego brać nie będę.

Na te moje słowa nikt nie wystąpił z szeregu, a wszyscy milczeli.

— Mości panowie — ozwę się ja teraz — wyście nie żaki, a jam nie bakałarz, abym wam tu długo admonicye dawał. Ale tym razem robię ekscepcyą, bo zaszła okoliczność szczególna, a jak to widzę, Waszmościom niemiła. Na drugi raz przypomnę animadwersyą artykułów wojskowych, a nie wiem kto na tem źle wyjdzie. Wiem ja, w kogo to wasze swawolne nawoływanie godzi; krzywiście temu, żem wziął komendę nad wami, i że wam oficer autoramentu cudzoziemskiego przewodzić będzie. A ja myślę, że to za jedno stoi, czy kto wedle polskiego, czy wedle niemieckiego autoramentu krew i życie da za Rzeczpospolitą, na co podobno nie długo czekać będziem, bo zewsząd o niespokojnościach dochodzą nas wieści. Już wam do posłuszeństwa wystarczyć był powinien sam rygor wojskowy, a karność owa, co obok mężnego serca najwdzięczniejszą cnotą jest żołnierza — ale jeźli tego nie dość, toż zważcie, że jeźli się za najszlachetniejszego żołnierza w tej Rzeczypospolitej macie, to szlachetności takowej dowód wam bardzo przystoi. Owo przypominam Waszmościom, żem ja przed chwilą, w waszych oczach, kiedy jeszcze JPan Ostrowiecki komendantem być miał, jemu posłuch a respekt żołnierski oddał, przeciw woli władzy się nie buntując. Takowy z siebie przykład dawszy subordynacyi, i po was jej słusznie wyciągam! A to ostatnie moje słowo!

Czy to determinacya moja spokojna a silna to sprawiła, czy też wstyd, że się nieszlachetnie zę mną obeszli, czy też w końcu i owa okoliczność, że tę moją oracyę słuchało stu dragonów, którzyby na moją komendę byli roznieśli na szablach pp. Towarzyszy wraz z ich pocztem i ułanami p. kasztelanica — dość, że nikt się żadnem nieprzystojnem słowem, ani nawet żadnym mrukiem nie ozwał. Ja zaś dałem sobie słowo w duchu, że to ostatnia moja oracya, i że przy najbliższej okazyi zęby pokażę, bo ano kędy pójdzie komenda, jeźli do każdego żołnierza oracyę mówić będę i argumenty go konwinkować zechcę? A tak na nieszczęście w Polsce bywało.

Odbywała się reszta lustracyi w porządku jakim takim — a po jej skończeniu zaprosiłem wszystkich oficerów na jutrzejszy dzień do siebie, aby partyę podzielić, eksercyrmajstrów każdemu oddziałowi przeznaczyć, i całą organizacyę po ludzku obmyśleć, aby się to wszystko jakoś kupy trzymało. Po panu kasztelanicowi i jego poczcie całym nie wiele się już po tej aferze spodziewałem, myśląc, że sobie do domu pojedzie, skoro zabawka nie po woli jego poszła. I to miałem sobie za koniec najlepszy. Owo inaczej poszło.

Zaraz na drugi dzień rano przed sesyą jeszcze przychodzą do mojej kwatery dwaj Towarzysze, JPan Dzierżek i JPan Sobolewski i mówią:

— Mościpanie kapitanie, przychodzimy do Waćpana w honorowej misyi od JPana kasztelanica Ostrowieckiego, chorążego pancernego znaku.

W tej chwili się domyśliłem, zkąd wiatr wieje, ale udałem, jako niczego nie przenikam, i zapytałem:

— Jakiemże to żądaniem JPan chorąży honoruje mnie przez Waszmościów?

— Nie supponujemy nawet tego — rzecze JPan Dzierżek — abyś Waćpan, p. kapitanie,

nie domyślał się, o co tu idzie. Wczoraj przed frontem a w obecności tak żołnierstwa pospolitej konduity jako i nas szlachty, skrzywdziłeś Waćpan honor JPana chorążego. Takowej obelgi nie mogąc przenieść bez kawalerskiej a krwawej satysfakcyi, JPan chorąży honor swój naruszony w nasze ręce powierzył, a my też jego imieniem z kartelem do Waćpana przybyli.

— Nic więcej? — pytam się spokojnie, wysłuchawszy tej przemowy.

— Owszem, jest coś więcej — rzecze teraz drugi towarzysz, JPan Sobolewski — mamy oświaczyć Waćpanu, że jeźli my w wyzwaniu Waćpana przyznajemy JPanu Ostrowieckiemu pierwszeństwo, to z tego nie wypływa, abyśmy nie salwowali sobie także praw i pretensyi naszych własnych wobec Waćpana, Mości kapitanie!

Ja znowu pytam spokojnie:

— Nic nadto?

— Na teraz nam dosyć — odpowiada z uśmiechem JPan Dzierżek — później może coś jeszcze dołożym...

Choć mi przygryzł, udałem, że nie rozumiem, wziąłem kartel p. kasztelanica, wyzywający mnie na rękę, i rzekłem:

— Idźcież sobie Waszmoście do JPana Ostrowieckiego i powiedzcie mu, żeście swoją misyę sprawili, i że dam mu słyszeć o sobie do trzech dni najdalej.

Owoż miałem kontynuacyą tej przykrej historyi. Rozgniewało mnie to do żywego i zawołałem sam do siebie

— Kiedy chce, niech mu się stanie; dam ja mu nauczkę, że jej rychło nie zapomni. Kiedy temu gagatkowi niemiło gładkie liczko, to mu je udekoruję; i tak wąsa nie ma, jak mu gębę rozpłatam, na żołnierza wyglądać będzie. Za dużo ci aż dwoje uszu, to ci zdejmę jedno, mój ty gaszku pancerny!

Jakoż w pierwszym impecie gotów byłem dać p. kasztelanicowi taką satysfakcyą jakiej pewno nie pożądał. Byłem graczem dobrym na szable, i znano mnie w pruskiem wojsku za takiego, a kiedym kilku Niemców porąbał, żaden już okazyi sobie ze mną nie szukał i drugiemu jeszcze odkazywał, choć nie byłem nigdy zawadyaką a zawsze honor cudzy szanowałem, jak swój własny, tom przecież nie takich smoków ujeżdżał, jak p. kasztelanic. W pierwszym ferworze byłem gotów wybić się, ale wnet mi się przypomniało, że to nie pan Ostrowiecki pana Narwoja, nie szlachcic szlachcica, ale subalterny wyzywa komendanta.

I owo rzecz zaraz w rozwadze mojej cale inną przybrała figurę. Jeszczeby tego brakło, aby komendant za każde przykre słówko w służbie powiedziane miał się rąbać ze swymi subalternami, a tożby trzy dni komenderował, a trzy miesiące się lizał i do felczera się modlił. Dziś mi jeden kartel przyszle, jutro drugi; poszlę kogo do aresztu, a on mi na to: „Bij się Waćpan ze mną"! Piękna mi komenda i piękna subordynacya!" Postanowiłem tedy inaczej sobie począć w takiej alternatywie, i dać raz taki przykład całej mojej partyi, aby się wszystkim raz na zawsze odechciało posyłać mi kartele. Nie potrzebowałem długo myśleć nad sposobem, jakby takie *exemplum* statuować, bo na to miałem regulamenta i artykuły wojskowe, które jasno o takowych niepozwolonych imprezach traktowały. Byłem zdeterminowany na wszystko, wiedziałem, że z paniątkiem zadrę, i że krewni jego dość są wielmożni, aby dziesięciu takich Narwojów, jak ja zgubić i zniszczyć z kretesem. Ale bądź, co bądź niechaj pada, co chce, powziąłem silną decyzyę, rygoru użyć a nie ustąpić gbybym miał i rangę stracić i bezpieczeństwo osoby własnej hazardować. Bić się z panem kasztelanicem, to nie była żadna odwaga — ale począć sobie z nim tak, jak z każdym innym ubogim subalternem, to był hazard prawdziwy.

Obiecałem pp. Towarzyszom odpowiedź za trzy dni — tymczasem już pojutrze zaraz wypadała druga lustracya całej partyi, a to była dla mnie najlepsza okazya do odpowiedzi, ale takiej, o jakiej ci panowie ekscessanci pewno nie myśleli. Bałem się tylko, aby p. kasztelanic przypadkiem razem z swym pocztem pancernym nie usunął się od tej lustracyi, ale na szczęście przybył, zapewne dla tego, aby mnie znowu jakim despektem uraczyć.

Na oznaczoną godzinę stanąłem na placu, gdzie już i moja chorągiew i wszystkie inne oddziały partyi się ustawiły. Przejechałem przed frontem, zlustrowałem moderunki i broń, a skończywszy takowy przegląd, kazałem trzy apele otrąbić i trzy larum uderzyć na znak, że ważny ordynans publikowany będzie. Gdy fajfry i paukiery zamilkli, zrobiło się cicho, jakby mak siał, a ja kazawszy zwinąć interwalle i formować koło, podjechałem w środek i całym głosem począłem:

— Panowie oficerowie, panowie Towarzystwo, unteroficyerowie i żołnierze wszyscy obojga

autoramentów! Baczność dla egzekucyi artykułów wojskowych! Stepka wystąp!!

Stepka — a trzeba wam wiedzieć, że stepką zwał się unter-profos, ten, który cielesne chłosty według rozkazu rozdawał i wyroki krygsrechtu na żołnierzach egzekwował, będąc niejako oprawcą i siepaczem szwadronowym — owoż ten stepka wystąpił z poza tylnego szeregu, mając w jednej ręce taraban a w drugiej pochodnię, bom go poprzednio poinformował, aby te dwa rekwizyta miał w pogotowiu. Wszyscy patrzyli z wielką ciekawością, co za egzekucya to będzie, a ja począłem dalej mówić:

— Zaszedł wypadek niesubordynacyi i takowej wzgardy artykułów wojskowych, że dnia zawczorajszego pan Michał Ostrowiecki, chorąży kawaleryi narodowej, w zuchwałości swojej odważył się przysłać kartel i wyzwać na pojedynek mnie komendanta całej tej partyi, w której on subalterna rangę piastuje. Że zaś pomieniony p. Michał Ostrowiecki do takowej imprezy assumpt wziął sobie z służbowej admonicyi, sam mnie do niej zniewoliwszy, przeto biorąc w sprawiedliwą animadwersyę artykuły wojskowe, niniejszą egzekucyę stanowię. Stepka zapal pochodnię!

Stepka spełnił rozkaz, a gdy już pochodnia gorzała, odwrócił taraban dnem blaszanem do góry i na ziemię go ustawił.

Wtedy ja wydobyłem kartel p. kasztelanica i rzuciłem go stepce pod nogi, wołając:

— Stepka, spal to *infame!*

Na tę komendę stepka podniósł kartel, pokazał go do koła, potem podarł w kawałki i na odwróconym tarabanie spalił...

Pan kasztelanic i jego towarzysze stali jakby z kamienia, tak im snać cała ta egzekucya była niespodziewaną i tak ich z wszelkiego zbiła kontenansu. Ja tymczasem czyniąc dalej co należało, przywołałem unteroficera z mojej chorągwi i kazałem wziąść natychmiast pod areszt p. kasztelanica i dwóch towarzyszy, co kartel jego nosili to jest JPana Dzierżaka i Sobolewskiego. Na ten rozkaz ocknął się pan kasztelanic i z dobytą szablą ku mnie *furiose* się rzucił — tak że go ledwie powstrzymano. Zrobił się teraz tumult między pp. Towarzyszami, i wołać poczęli: „Zobaczymy, zobaczymy?" Jakoż i zobaczyli niebawem, bo w jednej chwili, nim się połapać mogli, już ich dragoni moi tak sprawnie otoczyli, że wszelaki bunt lub opór był niemożebnym. Wzięto tedy bez tumultu pana kasztelanica i obu pp. Towarzyszy, szable im wprzód odpasawszy, i według rozkazu mego na hauptwach zawiedziono.

(Dokończenie nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KAPITAN PROFESOR.

(Obrazek z wspomnień szkolnych.)

(Dokończenie.)

Wysunęło się ze dwudziestu na środek, — ex-kapitan zstawił ich we dwa szeregi, a że okazała się mała liczba, przywołał znowu czterech, i zaczął ich obracać, pokazując, jak to potrzeba się skręcać, by utworzyć czworobok. Gdy wszyscy zdawali się doskonale już pojmować, stojąc jak mur w szeregach, profesor, usunął się do katedry, i wziąwszy w rękę ową pałeczkę do skazywania na mapie służącą, uroczyście zawołał: „formuj caré!"

Chłopcy zrobili obrót; część udała się w prawo, część w lewo, mieszając się bez porządku; bo nie mogąc rozstawić się w cztery szeregi z powodu szczupłości miejsca, skupili się w jedną masę, wcale nie wyglądając na kwadrat.

Ex-kapitan krzywił się i cmokał ustami z

niezadowolenia, brał każdego za ramię, popychał w różne strony chcąc ułożyć czworobok, lecz widząc, że zamiast porządku, coraz bardziej się mieszają, machnął ręką, syknąwszy:

— To na nic się nie zdało! widocznie ciasno; kiedy indziej wam pokażę — na miejsca chłopcy.

— Proszę pana kapitana, zsuniemy ławki pod okna, — zawołał jeden.

— Do czego znowu hałasy robić, dajcie pokój, usłyszą!

— Kto usłyszy, panie kapitanie? my cichutko zsuniemy!

I nie czekając pozwolenia profesora, rzucili się do ławek, jeden za bok, drugi za wierzch, trzeci za środek, ten za podnóżek, rwali, szarpali, popychali — dość, że w minutę uprzątnięto salę, nakurzywszy porządnie, powalawszy się jeszcze lepiej i zmęczywszy, bo to były dość grube i ciężkie ławki, może od lat 10 nieruszane.

— Co robicie, chłopcy! dajcie pokój! czy to potrzebne? a co to za nieposłuszne! — wołał profesor stojąc w katedrze i pocierając łysinę.

— Teraz panie kapitanie w czterdziestu!

— Po co tylu, po co, dość dwudziestu czterech, reszta do ławek!

Lecz oni już stanęli w dwa szeregi z liniami i tak jakoś porządnie prościutko się ustawili, tak wołali „panie kapitanie!" że pan profesor zmiękczony co chwila tym kapitanem, już się i nie sprzeciwiał, tylko wyszedłszy wolno z katedry, objaśnił zwroty, wykręcając się na wszystkie strony i posuwając rękoma, tak jakby całe szeregi poruszał.

Pierwszy obrót się udał; uwijając się niezgrabnie, sklecili jednak czworobok, — lecz przy podobnej kręcaninie dość hałasowali, krzycząc, popychając się i stukając nogami. W tem zaszeleściało coś na korytarzu, — któryś zawołał „rektor" i dziatwa, jak spłoszone stado jeleni, rzuciła się w największym nieładzie na miejsca, a pan Solecki jeszcze szybciej zemknął do katedry.

Nastała chwila ciszy.... wszyscy z natężonem uchem czekali, co dalej nastąpi, — lecz szmer ustał, a jeden z odważniejszych uchylił drzwi, i przekonano się, że nikogo nie było. Więc znowu wszystko sypie się na środek, ale przestraszony profesor już nie chce powtarzać nauki.

— Dość, dość tego; stukacie jak pułk kirasyerów, nie można, nie można!

— Mój panie kapitanie, jeszcze raz! — wołały zewsząd piskliwe głosiki, już cichutko będziemy się sprawiać!

— Ale nie można, — mówił zakłopotany profesor stukacie butami....

— To zdejmiemy! — zawołał któryś z grona.

— To zdejmiemy! — powtórzyli chórem — i nie czekając przyzwolenia, gdzie który stał, siadał na podłodze, operując nogi.

— Czyście poszaleli chłopaki! do czego to podobne, na miejsca mi zaraz! — wołał półgniewno profesor — a to koniec świata!

Lecz głos jego ginął wpośród pięćdziesięciu głosów: — rozkaz nie trafił do przekonania, bo za chwilę już wszyscy z zaiskrzonym wzrokiem i twarzą pałającą radością stanęli w szeregi bosemi nogami, prezentując improwizowane karabiny.

— A niechby też nadszedł rektor — wymówił ex-kapitan, — ślicznaby się wywiązała awantura.

— Nie przyjdzie! nie przyjdzie! — wołali chłopcy.

— Nie można moje dzieci, ubierzcie się natychmiast, bo ja musiałbym pukać; moje buty jeszcze wojskowe, całe podbite gwoździami....

— Niech i pan profesor zdejmie — zawołał Lipski.

— I pan profesor! — gruchnęła dziatwa klaskając w ręce.

— Sfiksowali! jak Boga kocham, sfiksowali!

— Mój panie kapitanie! mój złoty! mój tysiączny! mój kochany! — błagali wszyscy, składając ręce i zbliżając się do katedry.

— A idźcież sobie z Panem Bogiem! dajcie mi święty spokój! — wołał pan Solecki, nie mogąc się opędzić malcom, którzy obstąpiwszy go dokoła, całowali po rękach, po nogach, powtarzając prośby; gdy tymczasem żarliwsi ściągali buty z całej siły.

— Dajcież pokój szaleńcy! co robicie! — krzyczał, szamocąc się na wszystkie strony — a rektor, rektor jak się dowie?

— Nie dowie się, — nie powiemy — mój panie profesorze, nikomu a nikomu.

— Ale ja chodzę po wojskowemu, moje szkarpetki są....

Lecz wszystkie nalegania, prośby, gniewy, były napróżno. Swawolnicy już ściągnęli buty, porwali między siebie, a wydzierając jeden drugiemu, zmykali po kątach. Kapitan zdesperowany, nie wiedział, co robić z nogami, chował je biedny pod katedrę, zakrywał, zasłaniał chustką, dziennikiem, nawet połami od fraka, wił

się jak wąż w fotelu, a nie śmiał wystąpić z katedry dla odzyskania obuwia, znać wstydząc się pokazać uczniom wojskowe szkarpetki nie pierwszej całości. Tymczasem młodzi rabusie, chcąc zapewne przysłużyć się panu profesorowi, zanieśli z tryumfem owe buty do pieca, a że były mokre, otworzyli drzwiczki i ustawili na gorących węglach dla osuszenia.

Wszystko to odbyło się w jednej minucie. Pan Solecki już nie groził, lecz prawie błagał malców, aby się uspokoili i przynieśli mu wydarty zabór; lecz krzyki, śmiechy, stukania, całusy, prośby, głuszyły i pochłaniały jego wyrazy. Zamięszanie do najwyższego stopnia: już i o mustrze nie było mowy, bo w takim rozruchu pięćdziesięciu malców swawolnych, każdy po swojemu tańcował po sali, krzyczał, co sił starczało „spokojnie! spokojnie!" a tem samem jeszcze powiększał nieład. Naraz uderzyła czwarta, dzwonek odezwał się na korytarzu i wszystko co żyło zmykając na miejsca, rzuciło się do ubierania. Ma się rozumieć zapomniano tu o profesorze; każdy rad, jak najprędzej wymknąć się do domu, szukał ten książek, ten czapki, ten butów, ten linii, a profesor krzywiąc się najkomiczniej, siedział jak przykuty w katedrze, czekając zmiłowania Bożego, gdyż nie wiedział nawet, co się z jego butami stać mogło.

Ale nie tu był koniec jego frasunków, bo gdy już miano wychodzić i gdy gromada malców z książkami pod pachą tłoczyła się ku drzwiom do wyjścia i zdołała takowe otworzyć, ukazał się na progu sędziwy rektor, a wchodząc do klasy, wrócił wychodzących i drzwi zamknął za sobą.

Wszyscy stanęli jak wryci, nie śmiejąc słowa przemówić, rektor czas niejaki popatrzał po sali, nie mógł pojąć, co znaczy taki nieporządek, co znaczą te ławki do ścian pozsuwane, nareszcie zwróciwszy się do profesora siedzącego wciąż w katedrze, groźno zapytał:

— Co się tu dzieje panie Solecki? kto te ławki pozsuwał?

— To, to, to, — bąkał czerwieniąc się profesor — panie rektorze.... jeografia!... — lecz nie ruszył się z miejsca.

Ubodło to widać rektora, iż profesor zapomina dla niego winnego uszanowania i nie wstaje; zagniewało i to, że nie może się dowiedzieć powodu zamięszania, zbliża się więc szybko ku katedrze, bierze profesora za rękę, a obracając się do potruchlałych uczni, mówi rozkazująco:

— Na miejsca! czekać, — a do Soleckiego ciszej: Panie profesorze, proszę za mną! — i ciągnie go ku drzwiom za rękę.

Solecki, pomięszany do najwyższego stopnia, trzyma się mocno drugą ręką poręczy krzesła, wsuwa jeszcze dalej nogi w zakryty róg katedry i odpowiada drząco rektorowi:

— Daruj panie rektorze, ale ja wyjść nie mogę.

— Dla czego? — woła przelękniony staruszek — panie Solecki dla Boga, co panu jest? czy pan zasłabłeś?.. .

— Nie, nie, — odpowiada profesor — ale wyjść nie mogę.

— Co się to ma znaczyć? — krzyknął zaiskrzony rektor i szarpnął mocno za rękę profesora.

Ten pociągnięty siłą, aby nie upaść z krzesłem, zerwał się na nogi, a rektor ze zgrozą wtedy zobaczył, iż pan profesor bez butów.

— Pan bez butów chodzisz do klasy!! wrzasnął na całe gardło — odskakując od niego.

— Nie, panie rektorze — odrzekł śmielej Solecki — tylko mam ranę na nodze, która nie pozwala mi siedzieć w butach.

— Co znowu, co znowu? — mruczał rektor, kiwając głową — kto widział panie, jak to można? — w końcu obrócił się do uczniów, wołając:

— Do domu!

Malcy rzucili się ku drzwiom, jeden przez drugiego przytuliwszy uszy, zmykał co tchu starczyło na ulicę, a ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, skupili się wszyscy przed szkołą, radząc niespokojnie co z tego będzie.

— A jaki poczciwy pan kapitan — nie wydał nas.

— Prawda, prawda — powtórzyli wszyscy.

— Szkoda go, szkoda, biedak tak się zawstydził.

— Jak ty mówisz? wyda się to?

— Co się nie ma wydać?

— To będzie źle.

— Oj źle!

Te i tym podobne wykrzyki wyrywały się z gromadki potrwożonych malców, — gdy tymczasem pan rektor siedział wciąż w klasie z profesorem, chodził po sali, krzyczał, rozkładał rękoma, — jak donosili niektórzy szpiegujący pod oknem.

— Czekajmy na niego! — zawołał jeden.

— Czekajmy! — powtórzyła reszta; i podsunąwszy się w boczną uliczkę wyglądali z za węgła domostwa rychło profesor się ukaże.

Wybiło wpół, wybiła już piąta na wieży miejskiego kościoła, a profesora jak nie ma, tak nie ma.

— Gotów go do kozy wsadzić rektor, — odezwał się jeden.

— Eh co znowu, profesora? — rzekł drugi.

— A cóż ty myślisz, taki złośliwy?! — mówił trzeci.

— Wiecie co! zawołał Lipski — źleśmy zrobili, będzie bieda; otóż nie ma innej rady, tylko po mszy jutro wszyscy pójdziemy do klasy, tak jak tu jesteśmy, i będziemy siedzieć sobie w kozie do wieczora. Zgoda?

— Zgoda! zgoda! przyjdziemy jutro z książkami — wołali pocieszeni studenci i rozbiegli się do domów.

Nazajutrz była już trzecia z południa, gdy w klasie trzeciej zgromadzonych pięćdziesięciu uczniów siedziało jeszcze na swoich miejscach, cichuteńko, tak jak makiem zasiał.

Lipski przy tablicy powtarzał półgłosem jeografią, wszyscy słuchali z zajęciem! — Jeden odpowiedział, wychodził drugi i tak następnie. Żołądki malców kurczyły się z głodu, niektórym nawet i niedobrze się robiło, lecz żaden ani pomyślał o wyjściu. Tymczasem gospodynie po stancyach, nie widząc przy stole swoich chłopców a koledzy nie wiedząc gdzie się podziali, niepokoili się o nich, i już zamyślali donieść rektorowi o zniknięciu trzeciej klasy, gdy poczciwy Solecki dowiedziawszy się o tem, przypomniał sobie, że widział po mszy, jak jeden za drugim cichaczem wsuwali się do klasy; uśmiechnął się więc radośnie, zatarł ręce, poprawił łysinę — i pobiegł do rektora.

Właśnie ostatni z uczni już kończył powtarzanie jeografii, już zciemniać się na dworze zaczęło, gdy rektor wraz z panem Soleckim podeszli cicho pode drzwi i wpadli niespodziane do klasy.

— Co wy tu robicie? — krzyknął niby groźnie rektor.

— Proszę pana rektora, siedzimy w kozie.

— Kto wam kazał?

— Samiśmy sobie kazali — odpowiedział Lipski — bo zrobiliśmy źle, proszę pana rektora, więc się też karzemy za to.

— A dawno tu już jesteście?

— Od dziewiątej z rana.

— To za długo, za długo chłopcy; idźcie do domu, ja się wcale na was nie gniewam, tylko przeproście serdecznie pana profesora i nie róbcie głupstw więcej! — Dobrze dzieci, dobrze — mówił po chwili rozrzewniony — tak lubię; poznaliście złe, samiście sobie wymierzyli karę; ale po cóż tak długo? No idźcie, idźcie!

Dopieroż jak sunie się dziatwa; jak zacznie przepraszać rektora, profesora, całując po rękach, po nogach, wieszając im się po szyi, to starcy do łez się rozczulili.

— Dobrzy to będą ludzie — mówił drżący od wzruszenia rektor do pana Soleckiego, wychodząc z klasy.

— A nie mówiłem, panie rektorze? nie mówiłem; zaręczam, oniby sutannę z księdza rektora ściągnęli, a nicby im ksiądz rektor nie mówił, to istna pokusa....

— Prawda, prawda panie profesorze! Ale już zmiłuj się zaprzestań mustry.

— Daję panu rektorowi kapitańskie słowo honoru, odrzekł poczciwy Solecki.

— Wierzę, wierzę, mój panie, szczególniej temu kapitańskiemu. Dobra noc.

— Dobra noc.

I rozeszli się obaj; kapitana profesora wszyscy odprowadzili do domu z oznakami najszczerszej radości. Przez całą drogę nie mogli się nacieszyć z szanowanym starcem; a gdy go już żegnali przed sienią, pan Solecki przemówił uroczyście:

— No, moje dzieci, bądźcie zdrowi! idźcie do domów! tylko nie mówcie o tem przed nikim, i nie wspominajcie nigdy w klasie o mustrze, bo jak was kocham serdecznie! musiałbym się pogniewać.

— Nie będziemy, nie! nie! zawołali jednozgodnie i wiecznie tego dotrzymali, bo jeografia szła odtąd jak najlepiej, żaden ani nie pomyślał w klasie o mustrze; — tylko co do tajemnicy, ta na drugi dzień zaraz rozniosłą się po mieście i pokazało się w końcu, że pan Solecki po owej rozprawie z rektorem, nie mogąc znaleźć butów w piecu schowanych, zmuszony był przesiedzieć w klasie do nocy, a wtedy pożyczywszy ogromnych sandałów od kalafaktora sunął cichaczem do domu.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Biedna dziewczyna! nie wyobrażała sobie jeszcze, jakie to nieszczęścia miały runąć na mieszkańców Carrowa! Nie przeczuwała wcale że śmierć krążyła już w koło starego zamczyska, by nową przyłączyć ofiarę do tych, co już tam nieraz legły pod uderzeniem jej kosy!...

Parę razy sędziwa mistress Jarmy zapewniała, że słyszała jęki wśród nocy, z wnętrza starożytnych wieżyc; a Dick Martin częściej niż kiedykolwiek zamykał się w stajni. Cały dom widocznie obawiał się czegoś, i przerażenie niewypowiedziane opanowało każdego z domowników.

Tymczasem ayah, która od dnia pojedynku, który tak fatalnie wypadł dla jej ulubionego wychowanka, coraz więcej ponurą i smutną się okazywała, nie przestawała błąkać się po długich krużgankach i pustych komnatach niezamieszkałej części starożytnego gmachu, nie zwracając jednak niczyjej uwagi na siebie.

Pod pozorem obojętności na wszystko co ją otaczało, przebiegła kobieta miała baczne oko na wszystkie czynności, a ucho podchwycało każdy wyraz wymówiony w jej pobliżu.

W dniu poprzedzającym wyjazd obu młodych ludzi do Włoch, notaryusz sir Williama przybył z miasta do zamku.

Zara uśmiechnęła się ironicznie zobaczywszy prawnika, będąc przekonaną, że praca jego zostanie bezużyteczną.

— Stary waryat może dać swoje zezwolenie, — mruknęła sama do siebie, — może uporządkować przyszłość o ile to zależy od jego podpisu i kawałka laku; ale wola żyjącego zniszczy przezorność nieboszczyka!

Przez przeciąg dnia tego, baronet zamknął się wraz ze swoim prawnym doradzcą, który otrzymawszy poprzednio uwiadomienie, przybył z testamentem już przygotowanym. Doktor Orine został zaproszony na objad do swojego starego przyjaciela, ponieważ miał poświadczyć podpisany testament.

Sir William Mowbray i master Elworthy, notaryusz, roztrząsali uważnie, jeden po drugim, wszystkie warunki testamentu, względem którego zasięgnięto już rady najzdolniejszych prawników.

— Nic nie może być jaśniej nad to wyrażonego, — rzekł notaryusz do swojego znakomitego klienta. — Nie masz tu jednego zastrzeżenia, któreby nie wiązało następców pańskich o ile tylko prawa mogą zobowiązywać człowieka; a nie są to węzły takie, z którychby się łatwo można oswobodzić.

— Zrobiłeś pan duplikat? — zapytał baronet.

Prawnik dał potwierdzającą odpowiedź, dodając, że przezorność ta była zbyteczną, bo nigdy jeszcze żaden dokument nie zginął w kancelaryi doktora Elworthy i syna. — Zresztą, —

dodał, — dla większej pewności, jeżeli pan sobie życzysz, można złożyć pismo to u pana Coutts.

Baronet dał głową znak przeczący.

— Albo może w banku angielskim?

— Znalazłem bezpieczniejszą dlań kryjówkę, — odparł sir William. — Nie jestem wcale zabobonnym, a jednak nie mogę się pozbyć przeczucia, które mną od kilku dni owładnęło, i które mi wróży, iż już zaledwie parę miesięcy, może nawet tylko parę tygodni pozostaje mi do życia. Mam spełnić obowiązki względem żyjących i zmarłych, nie zaniedbam ich dopełnić święcie!

— Sir Williamie! — rzekł notaryusz, — od czasu, jak zacząłem wykonywać czynności mego urzędowania, miałem sposobność słyszeć wielokrotnie wspomnienia o przeczuciach tego rodzaju, zwłaszcza przy podobnych okolicznościach, pojmiesz więc łatwo, że zupełnie niedowierzam przeczuciom, ani tym podobnym wróżbom. Wiele osób czują jakiś wstręt niepojęty do pisania ostatniej swej woli, tak jakby dopełnienie obowiązku chwalebnego i szczytnego w obliczu prawa, moglo przyspieszyć godzinę śmierci!

— I nigdyż się panu nie zdarzało przekonać się, żeby następstwa usprawiedliwiły podobne przewidywania?

— Nigdy!

— To mnie istotnie dziwi! Byłbym raczej sądził na zasadzie prawdopodobieństwa, że w ciągu wieloletniego doświadczenia pańskiego, jedna przynajmniej przepowiednia tego rodzaju sprawdzić się musiała.

— Wcale nie; owszem, uważałem często u osób czujących się blizkiemi zgonu, że ulga, jaką im przyniosło spełnienie ostatniego obowiązku względem ludzkości, najzbawienniejsze skutki wywierała.

Podczas tej rozmowy, Henry i Ellena oglądali razem różne miejscowości zwierzyńca, które wspomnienia tylu dni błogich milszemi im czyniły. Walter Mowbray pojechał do Bungalore-Hall, aby się ze swoim ojcem pożegnać.

— To nasze rozstanie, droga Elleno, nie może trwać dłużej nad rok! — mówił jej narzeczony wiodąc ją w stronę jeziora. — Skoro tylko do Włoch przybędę, poświęcę się duszą i ciałem dla osiągnięcia zamierzonego celu. Serce moje daje mi zapewnienie, że pomyślny skutek uwieńczy to przedsięwzięcie... Biedny Walter! — dodał z westchnieniem.

— Biedny dla czego? — zapytała zdziwiona Ellena.

— Niezawodnie; moje poszukiwania pozbawią go nie tylko wysokiego znaczenia w świecie, którego byłby chlubą dla swych niezaprzeczonych zalet, ale i trzydziestu tysięcy gwineów rocznej intraty, bo tyle podobno, jak utrzymują, wynosi majątek sir Williama...

— I sądzisz, że on tego będzie żałował? — zapytała sierota, wlepiając wzrok badawczy w swego kochanka.

— Nie... gdybym miał powód tak mniemać, nie litowałbym się nad nim. Ale znam jego wspaniałomyślność wrodzoną, jego serce otwarte, wolne od wszelkiego sobkostwa, wszelkiej chciwości i nikczemnych uczuć, i nie raz myślę sobie, czy jest rzeczą możliwą, aby utracony dziedzic sir Williama był doń podobny z serca i charakteru?

— Cieszy mnie to, że tak cenisz wysoko mego kuzyna, gdyż równie jak ty, mam i ja o jego bezinteresowności i szlachetności umysłu wysokie wyobrażenie. Od pierwszej chwili, jak go ujrzałam, czułam dla niego przywiązanie siostry. Czy nie znajdujesz także, iż z talentów i usposobienia więcej ma podobieństwa z wujem, niż z ojcem swoim?

Czytelnikom naszym nie tajno, że pułkownik nie pozyskał sobie wcale sympatyi naszego bohatera; jego obejście chłodne i wymuszone, kiedy mu dziękował za ocalenie życia siostrzenicy, zmroziło doń Henryka, który pojąć nie mógł, żeby taki człowiek był ojcem Waltera.

Szybko upłynął poranek. Narzeczeni usiłowali pocieszać się w smutku blizkiego rozłączenia myślą o rozkoszy powitania się niezadługo, marzeniem o długiej przyszłości w szczęściu i miłości.

Nie przewidywali zmian, jakie nastąpić miały nim się znów zejdą razem nad brzegiem tego jeziora cichego, świadka niemego ich pierwszych przysiąg.

Oba testamenty zostały należycie przejrzane i podpisane przez sir Williama, w obecności doktora Orine, notaryusza i mistress Jarmy, którzy podpisali równie swoje nazwiska, jako świadkowie obecni. Poczciwa stara ochmistrzyni, skłonna do zabobonów, jak większość osób

jej stanu, nie mogła się wstrzymać od łez, wracając do sali wspólnej domowników.

— Co się tam stało? — zapytał stary Marcin.

— Nic, nic! — odpowiedziała, — tylko musiałam położyć mój podpis na testamencie mego kochanego pana! Nie cierpię widoku tych prawników w zamku.

— Oni są jak konie znarowione i trudne do wstrzymania, — rzekł sucho masztalerz, — trzeba im dobrze nałożyć wędzidło.

— Ostatni raz, kiedy kładłam mój podpis było to na ślubnym kontrakcie sir Williama, — rzekła znowu klucznica. — Biedny pan! nie przeczuwałam wówczas, że się tak źle skończy, a to właśnie ten sam notaryusz, co był wtenczas.

— Kiedyż odjeżdża? — zapytał piwniczy.

— Dziś wieczór. Jeden ze stajennych ma go odwieźć do Norwich, aby na czas stanął, nim szybkowóz do Londynu wyruszy.

To było dostateczne. Ayah słuchająca tej rozmowy uważnie, powstała i wyszła z izby.

— Nie wiem, doprawdy, co myśleć o tej kobiecie, — rzekła mistress Jarmy.

— Ale ja wiem, — mruknął Marcin.

— Ona knuje coś złego!

— To bardzo być może.

— Zawsze taka milcząca.

— Drapieżne zwierzęta zwykle są takie, — dorzucił masztalerz. — Biedna miss Ellena nie wie, jakiego węża przywiozła z sobą do Anglii, ale pozna to kiedyś.

— O, tego się spodziewam! — zawołała ochmistrzyni, uważając Zarę jako swoją rywalkę w łaskach swej młodej pani.

— Ja zaś pewny tego jestem!

Powrót piwniczego, którego dźwięk dzwonka wezwał był do sir Williama, położył koniec tej rozmowie.

— Marcinie! — rzekł wchodząc, — przynoszę rozkazy dla ciebie...

— Dla mnie? — zapytał stary bez najmniejszego zadziwienia.

— Tak jest, sir William chce się z tobą widzieć w bibliotece.

— Przecież raz! — szepnął masztalerz. — Wiedziałem, że mnie w końcu będzie potrzebował. Ja rzadko się mylę w mych przeczuciach.

— Co mówicie takiego? — zapytał piwniczy.

— Nie, to nic.

Wchodząc do biblioteki, stary sługa zastał baroneta samego. Wyglądał niezmiernie blady, ale zachowanie jego było spokojne i poważne.

— Zamknij drzwi, Marcinie, — rzekł.

Masztalerz wykonał w milczeniu ten rozkaz.

— Jesteś jednym z najstarszych sług mojej rodziny, a słyszałem od mego poprzednika, że znasz wiele miejsc tajemnych w zamku, mnie nawet niewiadomych.

— Rzeczywiście, sir Williamie; kryjówki te były porobione w czasach zamieszek, kiedy nie było tak spokojnie w kraju naszym jak obecnie. Mogę panu pokazać tajemniczą komnatę, w której sir Marmaduke Mowbray dłużej niż przez trzy tygodnie ukrywał się przed ścigającymi go żołnierzami tego łotra Oliwiera Cromwell, i przecież go znaleźć nie mogli... Czy wolno mi zapytać, zkąd pan przychodzi na myśl o tych kryjówkach?

— Potrzebuję jednego takiego schowku.

— Czy pan chcesz się tam ukryć? — zapytał masztalerz zdziwiony.

— Nie, ale dla złożenia tam duplikatu mego testamentu, tudzież pewnych papierów, dotyczących dziedzica mego tytułu i moich włości. Wiem, że mogę spuścić się na wierność twoją.

Marcin spojrzał na baroneta jak pies wierny, którego wartość została wreszcie uznaną.

— Zapewne że możesz, sir, liczyć na mnie do śmierci! — zawołał.

— A czy te kryjówki tylko tobie samemu są wiadome?

— Tylko mnie. Zwiedzam je często wśród nocy, aby sobie pamięć o nich odświeżyć, bo ta zaczyna się starzeć; już nie tak wierna jak dawniej. Przeczuwałem, że mogą przydać się kiedyś te tajemne ukrycia, i otóż przyszedł dzień, kiedy się użyć dadzą.

— Kiedyż mógłbym je zwiedzić?

— Tej nocy; nie byłoby roztropnie wcześniej się do nich udawać.

— Dobrze więc, o północy, gdy wszyscy domownicy rozejdą się na spoczynek, przyjdziesz do mego pokoju.

— Wejście do tych kryjówek znajduje się w bibliotece, sir Williamie.

Baronet spojrzał z zadziwieniem na starca, który dalej mówił:

— Lepiej, żebyś pan na mnie czekał; to mniej zwróci uwagę.

— Niech i tak będzie, — rzekł samotnik, oglądając się w około komnaty. — To jednak dziwne, żem tu tyle godzin, tyle lat przepędził, niczego się nie domyślając, nic nie odkrywszy z tych tajemnic!

— Nie ma w tem nic nadzwyczajnego, jak to sam pan uznasz, gdy wyjaśnię wszystkie tajemnice opactwa Carrow. Mnisi, którzy byli założycielami tych gmachów, byli przemyślni. Są tu podziemia, w którychby ukryć można cały szwadron jazdy; znajdziesz pan kaplicę z ołtarzem ozdobnym w krzyż i gromnice; ubrania kapłańskie wiszą na ścianie, a obok tychże, mszał pleśnieje od wieków jeszcze.

— Dziwi mnie to, żem się nigdy o tem wszystkiem nie dowiedział.

— Byłbyś się pan dowiedział.

— Kiedyż to?

— Gdyby zbieg okoliczności tego wymagał, lub gdyby mnie pan Bóg powoływał do siebie, byłbym panu zostawił wskazówki, przy pomocy których nie byłbyś mógł się omylić. Mam je na piśmie. Odczytuję je często w stajni, aby nie zapomnieć.

Umówiono się tedy, że Marcin je przyniesie, bo sir William pragnął usilnie mieć klucz do tajników zamczyka, którego od tak dawna był właścicielem.

Gdy masztalerz wyszedł z komnaty, baronet szeptał sam do siebie:

— Jak się to dziwnie składa, że przezorność minionych wieków znowu zużytkowaną będzie. Czyliż to nie zapowiada mi niejako, iż starania, jakie przedsiębiorę dla zabezpieczenia praw mego syna nie będą daremne? Nie dożyję już szczęścia ujrzenia go, przyciśnienia do mego serca zbolałego, usłyszenia z ust jego wyrazu słodkiego: ojcze! lecz jeżeli kiedy wróci pod dach swych przodków, duch mój czuwać nad nim będzie i z nim rozmawiać.

Zajęty tym zamiarem, sir William wydobył ze szufladek starego biurka, w bibliotece stojącego, klejnoty dziedziczne i najkosztowniejsze pamiątki swego rodu. W liczbie takowych znajdował się pierścień, który książę Czarny dał był jednemu z jego antenatów na polu bitwy, która go chwałą uwieńczyła; dalej krzyż i łańcuch, które nieszczęśliwa Marya Stuart miała na szyi w dniu, kiedy została ściętą na rusztowaniu, i niezwykłej wielkości smaragd, w którym były wyryte herby Mowbray'ów.

Poukładawszy te kosztowności w szkatułce umyślnie na ten cel przygotowanej, miał już zamknąć wieczko, gdy nagle kawałek czarnej wstążki zwrócił jego uwagę. Machinalnie zbliżył ją do światła. Obrączka ślubna była przywiązana do tej wstążki, ta sama, którą wiarołomna małżonka mu odesłała, uciekłszy z kapitanem Lucas, swoim uwodzicielem. Zadrgały rysy twarzy baroneta, na widok tej pamiątki swego małżeńskiego związku.

— Tego tu nie włożę! — rzekł odsuwając na bok cienką obrączkę złotą, — tego tu nie potrzeba, aby moje dziecko myślało, że mu chciałem błąd matki wyrzucać.

Potem zapieczętował skrzyneczkę, włożywszy w nią jeszcze papiery, które nikt inny prócz jego syna nie powinien był czytać.

Jakiś czas siedział w swem staroświeckiem krześle, o wysokiej poręczy, poglądając na godło związku, który całe jego szczęście zniweczył. Nareszcie podjął pierścionek wraz z czarną wstążką i schował w zanadrze.

— Niech cię nie widzą niczyje oczy! — zawołał, — znajdę dla ciebie miejsce spoczynku tak chłodne i spustoszałe, jak moje własne serce, które podobne jest do cmentarza, bo jego wspomnieniami są grobowce!...

XXXIII.

Zegar na wieży Opactwa oddawna północ wybił, a sir William Mowbray siedział jeszcze w tej samej starożytnej bibliotece, gdzieśmy go po raz pierwszy przedstawili naszym czytelnikom. Czekał na Dick Marcina.

Po jego bladości nadzwyczajnej można było poznać, że musiał staczać walkę z temi wspomnieniami bolesnemi, które gorzej niż wiek twarz jego mieniły, i czoło pobruździły przedwczesnemi zmarszczkami, niby bliznami widocznemi raz w sercu tajonemi.

Na stole przed nim leżały dwie skrzyneczki, starannie opieczętowane. Jedna z nich zawierała duplikat testamentu wraz z dokumentami, dotyczącemi jego rozległych posiadłości, w drugiej zaś były listy i uwagi, wynurzenia miłości ojcowskiej, pisane w długich samotnych godzinach i zwrócone do syna zginionego.

Napis tej szkatułki wskazywał dostatecznie jej przeznaczenie. Brzmiał bowiem następnie:

„Ma być otwartą tylko ręką mojego syna, jeżeli Bóg pozwoli mu dowieść praw swego urodzenia; w przeciwnym razie, należy spalić tę skrzyneczkę bez otwierania jej.

William Mowbray."

— Uczyniłem wszystko, co tylko przezorność poradzić, a czem najtkliwsze przywiązanie natchnąć może, — szepnął samotny dziedzic Carrowa. — Testament mój odbiera memu następcy wszelką władzę ustąpienia lub odprzedania najmniejszej cząstki z obszarów, które po pradziadach moich odziedziczyłem. Kiedykolwiek mój syn powróci, przekona się, że miłość moja ku niemu zabezpieczyła mu dziedzictwo ojcowskie... Czy wróci?... — Na tę myśl blade lica baroneta okrył chwilowy rumieniec. — O, wróci niezawodnie! Śmierć moja zgładzi mściwość jego wyrodnej matki! Nie będzie w ówczas miała żadnej przyczyny tajenia przed nim jego nazwiska rodzinnego. Może pierwszy krok swój zwróci do mogiły ojca. Gdyby popioły moje przemówić mogły, z jakąś tkliwością błogosławiłbym go w ówczas!

Nieszczęśliwy, osierociały, bezdzietny ojciec, czerpał pociechę w tej myśli, że syn nieznany zwiedzi jego martwe zwłoki, i oddawał się słodkim marzeniom, wzbudzonym tą nadzieją błogą, iż własne jego dziecię przebiegać będzie te obszerne komnaty, w których on tyle lat samotnych przepędził, w towarzystwie żalów gorzkich i marzeń o nim.

— Ale dla czegoż miałbym wierzyć w te ponure przewidywania blizkiego zgonu? — zawołał nagle, — krew jeszcze gorąca płynie w mych żyłach, życie w mych piersiach jeszcze nie wygasło; umysł choć przygnębiony długoletniem cierpieniem, jeszcze pełen siły i żywotności; mogę jeszcze doczekać się powrotu mojego jedynaka, mogę usłyszeć z ust jego nazwisko słodkie ojca!

W tem głośny huk grzmotu zatrząsł budynkiem Opactwa, i zbudził echa milczące wszystkich zakątków starożytnego gmachu. Grube mury zadrżały. Z wolna ucichł ten łoskot, pomięszany z krzykiem puszczyków, krążących ponad staremi basztami, bluszczem obrosłemi.

— Płonne złudzenia! zwodnicze te błogie nadzieje! — szepnął baronet, — nie mogę uniknąć mego przeznaczenia, które żelazna ręka skreśliła, wypalając mi mózg i serce! W cóż się obróciły pomysły i uczucia mych lat młodocianych! Czyż myślałem w ówczas, że na długi czas przed nadejściem jesieni żywota mego, śmierć nie będzie już miała nic strasznego dla mnie, a życie cały swój urok utraci?

Zapukano lekko do drzwi biblioteki.

— Wejdź pomniku starożytnej wierności! — rzekł sir William, — jestem gotów do ukończenia dzieła; wszystko już przysposobiłem!

Marcin wszedł, jak to był przyobiecał swemu panu. Wyraz jego twarzy był nadzwyczaj poważny; czoło więcej niż kiedy zmarszczkami zorane.

Oddawna już stary masztalerz miał to przeczucie, że przeznaczeniem było, aby ważną usługę oddał kiedyś rodowi Mowbray'ów.

— Czy wszyscy w zamku udali się na spoczynek? — zapytał baronet.

— Wszyscy, sir Williamie. Indyjska kobieta na samym ostatku odeszła do siebie.

Marcin był w błędzie. Zara udała tylko, jakby wracała do komnaty swej pani. Kilka słów półgłosem przez starego sługę wyrzeczonych w przeciągu dnia, wzbudziły w niej podejrzenia, i w tejże chwili, kiedy Marcin mówił sir Mowbrayowi, że niezawodnie się już położyła, ona stała przytulona do drzwi biblioteki, przyłożywszy ucho do dziurki w zamku, usiłując schwycić wszystkie wyrazy. Przeklinała w duchu starego, gdy obrócił klucz, zostawiając go we drzwiach; bo przypuściwszy, żeby co usłyszała, nie była w stanie nic zobaczyć, coby się tam dziać miało.

— Marcinie, — rzekł baronet, — wybrałem ciebie, najdawniejszego ze sług mojej rodziny, i doktora Orine, przyjaciela szczerego i powszechnie poważanego, któremu zamierzam powierzyć tę tajemnicę, abyście obadwa czuwali nad moim testamentem, z zastrzeżeniem wszelako, abyście o nim nie wspomnieli, chyba w takim razie, gdyby w skutek zbrodni lub innego wydarzenia przepadł ten, który złożyłem w ręce mego notaryusza.

— Rozumiem sir Williamie.

— Dokumenta dotyczące majętności Carrow, mają podobnie jak testament być utajone przed wszelkiem poszukiwaniem i wydobyte na jaw tylko wtedy, gdyby się Bogu podobało, aby mój syn tu powrócił.

Przy wyrazach: testament, dokumenta, ayah przytknęła ucho do drzwi. Ale szczęściem nie mogła więcej dosłyszeć.

— I Bóg pewnie go powróci! — rzekł stary sługa. — Najszlachetniejsze drzewo rodu Mowbray'ów, nie polegnie bez zostawienia odrośli na swoje miejsce, aby je zastąpiła. Przez przeciąg lat długich, to było przedmiotem mych dumań w stajni; ciągle o tem tylko marzyłem, o to się gorąco modliłem. Jestem już bardzo stary; ale wiem, że pożyję jeszcze, aby go ujrzeć, może nawet pomódz mu do odzyskania praw jemu przynależnych. Nie widzę innej przyczyny, dla którejby mnie Bóg tak długo przy życiu zachowywał w sługach waszych. Muszę być przeznaczonym do czegoś pożytecznego, do wyświadczenia ważnej przysługi tej rodzinie, której chlebem się wykarmiłem, w której tak zacnych znalazłem panów!

— Ta chwila nadchodzi teraz, chociaż wierność twoja i gorliwa służba, dawno dług wdzięczności spłaciła.

Sir William wskazał dwie szkatułki opieczętowane, które na stole stały.

— Dwie... — rzekł Marcin.

— Druga nigdy nie ma być nikomu oddaną, tylko memu synowi; potrzeba więc dwóch kryjówek oddzielnych, jeżeli je znaleźć można...

Stary Marcin, zapewnił, że jest ich przeszło dziesięć w Opactwie.

Zbliżywszy się do kominka, nad którym znajdowała się wielka tafla dębowa, z wyrzeźbionemi herbami Mowbrayów. Marcin prosił baroneta, by pchnął rękę przedstawioną w płaskorzeźbie między ozdobami tarczy herbowej. Sir William uczynił zadość temu wezwaniu. W tem dało się słyszeć skrzypnięcie, niby jakiejś sprężyny poruszonej, wszystko się usunęło, odkrywając framugę dosyć obszerną, w którejby się obydwie skrzyneczki zmieścić mogły.

Trudno byłoby wymyśleć bezpieczniejszy schowek. Gdy baronet postawił pierwszą szkatułkę i tarczę na dawne miejsce zasunął, zdawało się, jakby herby jego przodków broniły praw jego potomków. Uśmiechnął się, zatrzymując wzrok na dewizie swej rodziny, która tam znajdowała się, wyryte gotyckiemi głoskami:

In Trau Vast.

(Stały w wierności).

Zostawała druga skrzyneczka do ukrycia.

Marcin wydobył z kieszeni długi klucz żelazny, i wetknął go w szparę między dwiema płytami marmurowemi, które tworzyły ognisko kominka. Gdy go zakręcił kilkakrotnie, gruba żelazna blacha w głębi kominka usunęła się na bok, odsłaniając otwór dosyć obszerny, aby człowiek mógł wejść przezeń.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

Le arstwo na dysenteryą czyl biegunkę
doświadczone i przez gazetę ogłoszone
p. Hoffmana M. D. 1807 r.

Tormentile, to jest kurze ziele, do którego korzonki oczyszczone, drobno pokrajane lub potłuczone w ilości 4 uncyi, gotują się w kwarcie wody tak długo, aż 3 kwaterki pozostaną; wystudziwszy dobrze przecedzić, wlać do butelki, i na zimnem miejscu postawić, aby fermentować nie mogło. - Lepiej jest podług proporcyi tylko tyle gotować, ile się w jednym dniu wypotrzebuje. — Kto chce, może parę uncyi cukru lub pomarańczowego syropu dla lepszego smaku dodać; a komu to za drogo się zdaje, to i bez tego się obejdzie. *Sposób użycia*: Dzieciom, nie mającym jeszcze roku, daje się po jednej lub dwie łyżeczki od kawy. — Od roku do dwóch po łyżce stołowej. — Od dwóch lat do 4 po 2 łyżki. — Od 5 lat do 10 po 3 łyżki. — Od 10 lat do 15 po pół filiżanki. — Starsi biorą po całej filiżance, a to koniecznie co dwie godziny, bez przestanku, aż laksowanie całkiem ustanie.

Brzuch powinien być ciepło opatrzonym: można się więc ręcznikiem opasać lub też poduszkę małą na brzuch położyć. — Przytem wszelkich potraw, mięsnych nawet i rosołu, trzeba poprzestać używać. Jeść można kaszę gryczaną drobną lub ryż, albo bułkę startą i w wodzie gotowaną. Za napój służy klejek owsiany lub jęczmienny. Nadto jak największe ochędóstwo około chorego powinno być zachowane. Uważając na te przepisy i dopełniając ich, każdy może być pewnym, że wyzdrowieje, byle tylko wczas i bez przestanku tego lekarstwa używał, chyba że dysenterya połączona z tak zwaną zgniłą febrą.

W przypadku, gdyby tylnia kiszka przy stolcu wychodziła, tedy gałganki na samym otworze, namoczone, często przykładać trzeba.

(D. c. n.)